1846. Nr 23. ROK 5.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

PIEŚNI LUDU.

Cóż to jest poezija gminna? — Jest to poezija, o któréj marzymy w dniach naszéj młodości, któréj szukamy w wieku młodzieńczym, do któréj wzdychamy w latach dojrzałości, w chwilach przesytu, nudy, tęsknoty. Jest to poezya, która odmładza starość zgrzybiałą, co jeszcze i na mogile zasadza kwiaty życia, młodości—niewiędnące nigdy—kwiaty, wiążące obecność z przeszłością, świat rzeczywisty ze światem marzenia, duchów, aniołów. Poezija gminna, jest to tchnienie wiosny, dźwięk arfy pobudzonéj wietrzyka swawolą, głos ulatujący zdala, szelest tajemniczy liści.—Poezija Ludu, jest to jeszcze płacz mimowolny niemowlęcia, głośne łzy rozstania dziewicy z młodzieńcem, albo rumieniec pełen krasy, wywołany na lica wstydliwości płomieniem.

Jeżeli kształty pieśni gminnéj tak są naturalnie powiewne, lekkie, ulotne, a tak odpowiedne, harmonijne z biciem serca, jakież serce do

niéj zatętni? Może serce, zagłuszone szumem światowego gwaru? może serce, zatopione w roskoszach ziemskiego kału? może serce, wyziębione chłodem rzeczywistości bezdusznéj, bezpoetycznéj—bezduchowéj?—Bynajmniéj: kto nie upodobał sobie niewinnych wdzięków przyrody, nie pokocha pieśni, tego głosu przyrody, oblubienicy serc przeczystych, dziewiczych, anielskich. Otoż cała tajemnica, dla czego w czasach zepsucia, pieśń nie znajduje echa w duszach zaskorupiałych ziemskością. W epoce, w narodzie, gdzie prawdziwa poezija, ta wychowanka nieba, ta wejdalotka Znicza, nie najduje przystępu do duszy: śmiało rzec można, że tam nie ma duszy, coby ją pojęła, ukochała, wypieściła: stąd wniosek, że tam upadek obyczajowości.—Pieśni Minnesingerów, Trubadurów, Prowansalów, Minstrelów, Lumirów, Bojanów—zakwitły i rozkrzewiły się w czasach najżywszéj wiary, w czasach niepokalanéj czystości obyczajów: powiędły, uschły i zwietrzały—wraz z upadkiem niebieskiego ducha; z pokalaniem serca, anioł niewinności i harmonii opuścił ziemię, uniósł się do niebios wtorować chórom Serafinów. Tam więc poezyi teraz szukać należy, ztamtąd zwabiać ją na świat ziemski, aby duszę oderwać od rzeczywistości. W zmąconym potoku nie zaświeci czysty promień słoneczny: ani w zmąconej duszy nie odbije czyste oblicze posłanki nieba—poezji. Jak z czystego płynie serca, czystemu też najmiléj przyśpiewuje. Lubi ona góry, strumienie i gaje: połączona z szeptem lasów, z szmerem wody, z echem gór, wiekuje zawsze świeża i młoda jak one, odradza się coraz i wiecznie z nowym, ponętnym urokiem śpiewa tajemnice przyrody. Wstępuje nieraz w ubogą zagrodę wieśniaczą, bawi się w ogródku kwiatkami, uplata różnowzore równianki, aby ozdobić wieńcem zapłonioną dziewicę przed ślubem; śpiewa jéj troski, jéj nadzieje—wspomina przeszłość, w płaczu się rozlewa nad utratą dni młodości, lub koi żale przyśpiewując jéj u krosienek, na polu i łąkach—skraca długie wieczory przy łuczywkach smolnych.—To już z nową wiosną towarzyszy młodzieńcowi w łódce na wodzie, lub na wronym po-błoniu, tam, gdzie jego serce rade, gdzie rodzice mili—gdzie dziewczę ze łzą w oku, gdzie trąbka boju wzywa. Pieśni gminne, mianowicie słowiańskie, taki koloryt mają. Ze słowiańskich, litewskie najbliżéj wymienione własności na sobie noszą. Poznajmy lepiéj prawdziwą ich stro-

nę. Pieśni litewskie, krom uprzejmej prostoty, jedne tchną pogodą anakreoncką, drugie oblekają się przelotnemi obłoczkami lubej jakiejś tęsknoty, inne, przybierają rzewności chmurki, są wreście co się rozlewają we łzach czułości. Silnych uniesień rozpaczy, jak równie miękkiej swawoli, nie znajdziesz w pieśniach litewskich—same smutki goszczą tu na chwilę roztopione we łzach radości.—Czułe rozstanie się z domem rodzicielskim, pożegnanie dni młodości, najwięcéj łez wyciska dziewczynie, bo nie wié co ją czeka, jaką nową matkę powita w obcym domu—świekra nie zastąpi czułych koło niéj badań rodzicielskich.—Lecz najrzewniejsza dola czeka sierotę. Świat obecny dla niéj jakby za ciasny—szuka inszego, pocieszającego. Spieszy więc na grób matki, aby ją przywołać, swoje troski powierzyć, odebrać pociechę. Czułość macierzyńska czuwa nad dzieckiem i z po-zagrobu, z mogiły daje mu rady, pociechę, opiekę, już bezpośrednio, już w obrazie kukułki tajemniczéj. Dla tegoć to kukułka, zozula, tak ważną gra rolę w pieśniach mianowicie litewskich: w niéj przebywa duch matki, przez nią, żyje ze światem duchów, przez nią, obecne troski słodzą. Któż się znajdzie, coby téj wierze głębokiéj ludu, odmówił duchowéj, po-nad ziemskiéj przeczucia siły, opieki, tak dzielny mającéj wpływ na rzeczywistość.—Z téj wiary ludu ukształciła się nowa poezija litewskiéj i w części ukraińskiéj szkoły utrzymującéj wpływ świata duchowego, wyższego na świat ziemski, i tèn charakter stanowi przeważny jéj urok, który każde młodzieńcze dziewicze serce tyle szanuje.—Zimny racyonalizm potępi, jak niedorzeczny wymysł, czcze marzenie; lecz serce pełne wiary, uświęci to głębokie niemylne przeczucie.—Głęboka wiara ludu, aby nie tracić związku z ulubionémi osobami po-za grobem, przemieniła miłe istoty w nadobne kwiaty, pełne woni i blasku, odradzające się co wiosnę, jakby zaręczając im nieśmiertelność: inne, snać za karę,—albo dla odmiany ich przykréj ziemskiéj doli na lepszą, zaklęła w rybki.—Z téj wiary ludu poeta może czerpać nieprzebrane złote pomysły, jakto już liczne a piękne mamy tego w Literaturze nowéj przykłady: i coraz, mamy nadzieję, pomnażać się będą, póki nad zimnym racyonalizmem górować będzie poezija—ten wytrysk gorącéj duszy.

Pieśni litewskie, oprócz tych własności wewnętrznych, stanowiących jéj charakter, duszę, wykrywających tak dobrze skłonności ducha ludu; mają przymioty zewnętrzne, sobie właściwe, a przeto godne uwagi. — Forma pieśni litewskich jest prosta, jak przyroda sama, co ją tworzy. Jakiś obrazek z natury, jakieś uczucie, przygoda, myśl moralna, ujęta w słowach krótkich, w kształcie lirycznego dyalogu; dla tego słusznie małemi odami się mianują. Nic tu zbytecznego, nic naciąganego. Liryczne przeskoki, dają słuchaczowi wiele do dopełnienia w swéj duszy, co rodzi dla czytelnika wdzięk osobliwy. Ścigać musi myśl za jéj polotem, aby nie utracić wątku, aby nie pierzchła z przed oka uwagi. Jak tajemnicza krepa, powiewne pieśni kształty, niewprawnemu oku wiele zakryją wdzięku: trzeba pieśń śledzić pod tą lekką, tajemniczą zasłoną, aby prawdziwy jéj cel ukryty w głębi, dopatrzyć: inaczéj—wyda się nicością: i nie jeden tak o niéj trzyma,— ale za to badawczemu oku duszy, wiele sprawia tajemniczego uroku. Pod tym względem, pieśni te mają zbliżenie do bajki, allegoryi, legendy, gdzie myśl tai się pod zasłoną prostą, aby odkryta bardziéj oczarowała. Tajemnicza ta forma, jest jedną z tajemnic sztuki poezyi, którą, widzimy, w naturze ma zasadę. Zbyteczna wydatność, nie zaostrzając uwagi, czyni czytelnika, że tak powiem, biernym: przymiot jasności zupełnéj, bardziéj przystoi poematom skali wielkiej, gdzie przedmiot z siebie bogaty, rozmaity, garnie różnorodne części w jednę całość, tam uwaga, zwrócona na związek tych części, mordowałaby się, napotykając liryczny nieład—opuszczenia: chociaż i w tym razie, wyczerpywanie przedmiotu do nitki, jeśli tak rzec można, pozbawia mocy, związłości, a czytelnikowi nie pozostawia wdzięku dopełnienia własną wyobraźnią, dośpiewania w swej duszy. Pieśni litewskiego ludu w części większej, możnaby nazwać szkicami. W jednej chwili rodzą się w duszy, i jak tchnienie puszczone na wiatr, wcielają się w słowa żywcem, a śpiewak często sam nie umie wyjaśnić skąd mu to przyszło—i jak w te a nie inne przelała się kształty—prawdziwe natchnienie—prawdziwa liryka! — Kształty te muszą być odpowiedne tonowi duszy, co je zrodziła: jakoż ton tworzy pieśń.

PIEŚNI LITEWSKIE.

Pieśni ludu są hipokreną dla poetów.
Wiszniewski.

Do szacownego zbioru: Pieśni ludu Biało-Chrobatów, Mazurów i Rusi z nad-Bugu, ogłoszonego staraniem p. K. W. Wojcickiego; do pieśni z królodworskiego rękopisu, z czeskiego na polskie, podług zbioru W. Hanke przez L. Siemieńskiego przełożonych, wydanych 1836 r. w Krakowie: Literatura polska otrzymała jeszcze kilka zbiorów w tłómaczeniach pieśni litewskich.

Pieśni wieśniacze z nad Niemna, z nad Dzwiny—są już znane czytającéj publiczności, do tych przybyły jeszcze trzy zbiory 1844 roku ogłoszone drukiem: 1) *Pieśni ludu z nad-Dolnego Niemna*, przekład z litewskiego podług zbioru Rhesa, z uwagami nad Żmudzią, i z dołączeniem muzyki rodowéj przy towarzyszeniu fortepianu. Warszawa, 1844 r. *). — 2) *Pieśni litewskie*, przekładania Ludwika z Pokiewia. Wilno, 1844 r. — 3) Pieśni ludu nadniemeńskiego, z okolic Aleksoty, 1844 r.

Pieśni litewskie oddawna już zwróciły na się uwagę sędziów estetycznych, znawców poetów. Znajdujemy na czele płodów zagranicznych, godła z tych poezyj brane**), a u nas mamy naśladowców i poetów najznakomitszych, którzy się przekładem pojedynczych pieśni zajmowali. Zbiór ogłoszony przez Rhesa w Królewcu 1825 r. obudził cie-

*) O tém tłómaczeniu p. Wojcicki w swéj Historyi Literatury wspomnieć nie raczył;—szkoda że o tém nie wiedział.

**) Poezije liryczne Wiktora Hugo, mają za dewizę wiersze: z pieśni litewskich.

kawość powszechną ku pieśniom litewskim. Miłośnik starożytności litewskich, p. Rhesa, ogłosiwszy poemat dydaktyczny *Danalejtysa*, poety litewskiego — *Cztery pory roku*, hexametrem pisany — obok z tłómaczeniem niemieckiém, wydał pieśni *Dajnos* wraz z przekładem wiernym i z uwagami na końcu nad temi pieśniami. Wyznaje on, że z licznego zbioru jaki posiadał, wybrał do ogłoszenia te tylko, które uważał za najstosowniejsze do poznania ducha ludu;—insze jako waryanty słabsze, pominął.

Zaledwie zbiór ten wyborowy pokazał się światu literackiemu, zaraz Professorowie warszawscy: K. Brodziński, i L. Osiński, nie mogąc się powstrzymać od szczególnego ku tym pieśniom uczucia, czynili nad niemi uwagi, pisali rosprawy, tłómaczyli. Spiewak Grażyny kilka z nich swoim sposobem przerobił, i między balladami dał poznać ciekawéj publiczności. Do tłumaczów, policzyć z dawniejszych należy: Emeryka Staniewicza, Ig. Kułakowskiego, Al. Chodźkę, A.E. Odyńca, L. Rogalskiego i in. Znajdujemy też przekłady w Historyi Litwy p. T. Narbutta, w Historyi Literatury p. M. Wiszniewskiego, i w Anafielas JJ. Kraszewskiego, w pierwszéj pieśni: Witolorauda. Zbierali pieśni litewskie: Lud. Jucewicz, a przed nim, Szymon Staniewicz na Żmudzi, którego zbiór na świat wyszedł, nakładem Adolfa Przeciszewskiego, marszałka powiatu Rosieńskiego. Lecz, jak wspomnione zbiory, tak mianowicie przekłady nie były liczne—ostatnie trzy tłomaczenia dają nam od razu do dwóchset pieśni, bo cały prawie zbiór Rhesa, z dziewięćdziesięciu przeszło pieśni złożony *), oraz z 35 zebranych przez Ludwika z Pokiewia (Jucewicza) i 51 przez Karola Brzozowskiego. O dwóch ostatnich przekładach zamierzamy powiedzieć słówko—a naprzód, chcemy zwrócić uwagę czytelnika, na charakter pieśni litewskich—wewnętrzny, i budowę ich zewnętrzną; aby wiedzieć, czego mamy żądać od tłómaczów, i cośmy od nich otrzymali.

M. Wiszniewski w swojéj Historyi Literatury, wymownie mówiąc o pieśniach ludu, policza pieśni litewskie w rzędzie polskich, i zaszczytne w Literaturze naznacza im miejsce. Ktoś z krytyków, uczynił mu zarzut, że pieśni litewskie nie mogą należéć do polskich: zapewne z te-

*) Obacz Witold nad Worsklą i Pienia liryczne część 2ga.

go względu, że są w języku litewskim? Znać p. Wiszniewski głębiéj je pojął, zbadał ducha: a z ducha swego nie mogą nienależeć do Literatury naszéj.

Pieśni litewskie nie są wprawdzie płoche i swawolne, jak nasze krakowskie; nie są poskoczne i wesołe, jak mazurskie; nie wiele też mają wspólnego z podlaskiemi: ale cechy ogólne: prostotę, naturalność, uprzejmość i inne, zdobiące polskie pieśni, przymioty mają wspólne. Różnią się od polskich, mianowicie, własnościami, jakie pochodzą z położenia ziemi, z klimatu, ze zwyczajów i obyczajów ludu—z nałogów, że tak powiem, przyrodzonych, tak, jak się różnią fizyognomie dwóch braci, jednego ojca i jednéj matki.

Pieśni, są dziećmi ludu—jaka różnica zachodzi między dwoma narodami, taka będzie i w pieśniach. Póki Litwini i Polacy byli wyznawcami różnych wiar, póki się nie lubili wzajemnie—wtedy pieśni—ten wykrzyk ich duszy, musiał być różny.—Wiara jedna zbliżyła te dwa ludy do siebie, zbliżyła i w jedno zlała.—Jeden duch je ożywia i jedne duszy uczucia, jedne muszą rodzić pieśni—te prawe ducha dzieci. Duch przeto pieśni litewskich i polskich jest jeden; charakter nieco różny.—Pieśń jest wyrażeniem przyrody i ziemi na któréj się rodzi; różność przyrody i ziemi, nadaje szczególny pieśni charakter, stosowny do przyrodzenia. Zwyczaje miejscowe, obyczaje, język, odbijają się w pieśni: i pieśń jego równie jest prosta, szczera, naiwna, uprzejma, serdeczna. Z takich przymiotów serca litewskiego ludu, rodzą się niezmiernie liczne cieniowania uczuć w pieśniach, które łatwiéj pojąć, niż opisać. Czytajmy pieśni, ten niezfałszowany wypływ duszy—ten zdrój przeczysty, w którym się, jak w zwierciadle, malują ludu skłonności, nałogi—skrytości serca—a w nim poznamy dobitnie, odbity charakter jego.

W pieśniach litewskich najczęściéj figurują: konik, łódka, ogródek, wianek ruciany, kukułka i t. p.—to nam wskazuje zamiłowanie płci męzkiéj i niewieściéj—ludu, zamieszkałego nad wodami, otoczonego w koło pięknem przyrodzeniem, tym ogrodem natury; ludu, przywykłego do swojego konika, jak do brata, do towarzysza, powiernika—któremu myśli swoje i żądze powierza, z którym razem trudy podziela, z którym rozmawia najchętniéj. Łódka stanowi jego zatrudnienie,

rzadko socha, znać, że mu na wodzie swobodniejsze i milsze życie—połowa pieśni litewskich śpiewa o łódce, o koniku. Czém koń dla młodzieńca, tém jest wianek dla dziewczyny. Ona mu tajnie swego serca powierza, ona go łzami skrapia, ona z nim się nadzieją unosi. —Ogródek, to jéj łódka—nie tak często puszcza się na fale, jak odważny młodzian, ona pilnuje porządku w domu, pomaga matce, pracuje w krosienkach, przędzie len biały, szyje, haftuje—narządza krosienka—grabi w łące siano, czasem w łódce siadywa, aby umyć białe ręce. Lecz najmiléj przebywa w ogródku, w nim duma, nuci; co ją boli lub cieszy, jemu powierza; tam wianeczek z zielonéj ruty uplata, może już ostatni, bo jéj kukułka przepowiedziała zamężcie. Stąd to, u ludu nadniemeńskiego, gdzie przyroda bogato rozproszyła swe skarby, przy każdym wieśniaczym domku, musi być nieodmiennie ogródek pod oknami, pełen róż, lilij, ruty zielonéj, stokroci i t. p. tysiącznych kwiatów.—Gdzie go nie widać, tam znać w domu nie ma duszy młodéj, coby, do tych niewinnych przyrodzenia darów, tęskniła. Kukułka, jest powiernicą płci obojéj. Ona im szczęście lub niedolę zwiastuje—ona im przynosi wieści z inszego świata; ona jest obrazem ducha matki, ojca, braci, siostry, kochanków i t. p. Ona służy za posłankę od dzieci sierot do mogiły rodzicielskiéj, aby im skargę ich odniosła: kukułka jest duszą wcieloną.

Żywa wyobraźnia ludu wszystko ożywiła, co go otacza—wszystko ma czucie, myśli, mowę, i nic dziwnego, że w kwiatek róży przemienia się kochanka, w motyla kochanek, dusza młodzieńca, w krzak różowy, dziwnéj piękności i woni; dziewica przemienia się w rybkę, aby uszczęśliwić wdowca zwyczajnie nielubionego od dziewcząt—panna nieszczęśliwa, staje się rybką oczarowaną i t. p.—Tym sposobem wyobraźnia, zaludniła wody, powietrze, ziemię istotami żyjącémi, w inszéj tylko postaci; i jakże tych żywiołów lud nie ma miłować, kiedy z niemi, a raczéj przez nie, żyje z istotami, które ukochał na ziemi a które postradał. Piękna dusza przechodzi w kwiat piękny, brzydka, w ciernie lub pokrzywę. Ta wiara ludu jest właściwa wszystkim pokoleniom sławiańskim, a jak nauczająca!—Z téj to wiary ludu, malarz, poeta, mogą cudne czerpać pomysły; w niéj się, jak w źródle poetycznem odświeżać; na jéj podstawie, rozwijać skrzydła fantazyi,

do nieskończoności. Słusznie mówi M. Wiszniewski, że pieśni ludu, są hipokreną dla poetów. – Tu świat ziemski z duchowym, są w przymierzu.

Pieśni litewskie, uważane zewnętrznie, dostarczają wiele postrzeżeń estetycznych; badanie cech pod tym względem, pożyteczne jest nader dla puszczającego się w zawód poety, a dla tłómacza konieczne, nieodzowne.—Prostota ducha odbija się w prostocie słowa, wyrażenia; harmonia ducha, w melodyi. Ton, jest duszą pieśni:—c'est le ton, qui fait la chanson, sprawiedliwie powiedziano. Bez tonu właściwego, nie ma pieśni.

Prostota w pieśniach litewskich jest wielka, i aby ją pojąć, potrzebaby żyć z ludem, jedném oddychać z nim tchnieniem, jedną myślą myślić. Sztuka nie łatwo naśladować zdoła tę przyrodzoną własność. —Łatwiejsze jest powtórzenie tonu, ilekroć właściwość języka nie staje na zawadzie, wszakże i tę, w pewnéj mierze, pokonać, jest w naszéj mocy: ale warunek nieodmienny; mieć harmonią w duszy, uczucie przyrodzone wszelkich odcieniów harmonii;—dusza śpiewna, zbada tę tajemnicę, i odśpiewa dla ucha, dla duszy, pieśń stosowną do przemian uczucia, które są tak różne. Melodya w pieśniach litewskich jest prawdziwa, a tak rozmaita jak przyroda sama, któréj jest echem. Język sam wielce ku temu jest pomocny, pełny, brzmiący, w iloczasie bogaty—w nim się przypomina harmonijny język włoski, pełen samogłosek, próżen zbiegu spółgłosek twardych. Język polski, strojny, ograny, ze wszystkich narzeczy słowiańskich może najśpiewniejszy, musi jednak ustąpić pierwszeństwa litewskiemu: nie ma iloczasu tak rozmaitego. Dla tego pieśni litewskie rzadko mają rymy—ale za to miara zastępuje ten niedostatek sowicie. Miara pieśni stosuje się do uczucia, które ją rodzi: jak różne uczucie, tak melodya różna. Chcąc tę melodją pieśni litewskich poznać, trzeba ją badać w źródle, i baczną na nię zwracać uwagę, aby nie została obcą. Potrzeba ta jest konieczną dla tłómacza. Kto tego tonu w oryginale nie pojął, wiele, wiele ujął im wdzięku. Z tłumaczów znanych pieśni litewskich, jedni, nieznając oryginału i tłumacząc z tłómaczenia niemieckiego, wiele uronili z przyrodzonego wdzięku. K. Brodziński, ten poeta melodyi, jednę

pieśń rzewną odśpiewał na ton wesoły, i całe wrażenie popsuł: nie uczyniłby tego, gdyby znał oryginał.—Inni ubiegając się za rymem, o miarę nie dbali—i nie na korzyść to ich przekładom wyszło. Teraz, coraz się bardziéj przekonywamy, o ile ton, w pieśni mianowicie, téj siostrzycy poetycznéj muzyki, liry, jest ważny, pożądany, konieczny. Nie ma pieśni bez liry;—ton tworzy pieśń: (C'est le ton, qui fait la chanson).

Do tych przymiotów pieśni litewskich, należy jeszcze używanie wyrazów zdrobniałych.—Tę własność litewski język posiada przeważnie; stopniowania zdrobniałości ma bardzo liczne, tak, że niektórych wyrazów do pięciu i sześciu stopni drobnienie widzieć w nim można. Wyrazy zdrobniałe przydają powagi pieśniom litewskim, mówimy z M. Wiśniewskim i dodajemy, że ich urok szczególny stanowią, a są przyrodzoną własnością. Powiedzieliśmy gdzieindziéj, że tego przymiotu miłego nie mogą się Litwini nawet w polskim pozbyć języku. Nie posłyszysz z ust ich mianowicie płci niewieściéj: siostruleńko, braciszeńku, ojczeńku, matulenko i tak wszystko koło siebie umila, co niezawodnie z serdeczności tego ludu prostego, szczerego, szlachetnego, jak jego pieśń, wynika.—Na ten przymiot, tłumacze nie wiele baczności zwrócili; odjęli im przez to najmilszéj ozdoby. Język nasz nie jest w nie ubogi—a coraz pomnażać może, byle z serdeczności wypływały.—W pieśniach, w zbiorze p. Wojcickiego znajdujemy liczne przykłady wyrazów zdrobniałych, jak tu np.:

Błogosław, mamuleńko,
To twoje dzieciąteńko.
Błogosław oboje,
Te dzieciąteczka twoje. (T. 2gi, str. 40).

albo to: (str. 75)

Czas! czas! godzineńka schodzi...
. . . .
Otwórz matuleńko, otwórz,
To twoja córeńka!——

albo jeszcze: (str. 77)

Zima, zimeńka,
Bardzo bieleńka.
. . . .

„Przystałabym ja
„Do mojéj mateńki
I do tateńki,
I do siostrzeńki — i t. p. i t. p.

Zdrobniałość widzimy jest ludu przymiotem, i w przekładach mianowicie, nie godzi się pozbawiać tego miłego wdzięku—pieśń obrana z téj ozdoby, nie wyda się w swojéj przyrodniéj szacie, to jéj kolory, w których się kocha, i któremi jaśnieć rada, jak kwiatek na dolinie. Sztuka znarowiona pyszną ozdobą, usunęła pieśni, tę jéj skromną sukienkę, a ona dla niéj tak do twarzy była! — I tłumacze ją podeptali nieraz, jaka szkoda! *(D. n.)*

POGANKA.

(Dalszy ciąg). *)

W domu rodziców obchodzono Wigiliję Bożego Narodzenia. Dzieci się pozjeżdżały, bo już nie wszystkie pod rodzinnym żyły dachem.— Dwóch braci ożenionych, Adam i Józef, w dalszych mieszkali okolicach. — Trzy siostry poszły za mąż: Julcia, Bronisia i Terenia.—Karol wojskowo służył w królestwie i z Lubelskiego na czas krótki tylko za urlopem przyjechał, Cypryan gdzieś aż z Rzymu ostatni list pisał, ja-sam z Węgier wracałem, a przy rodzicach aniołem pociechy tylko Ludwinka została—moja Ludwinka zawsze blada, zawsze smutna, zawsze, nawet w chwilach radości swojéj, jakby za szczęściem nieujętnem tęschniąca.—Ja dziś myślę, że Ludwinka musiała żyć z jakiemś utajoném w głębi duszy cierpieniem, jak nieraz kwiatki, te kochane jéj, rosną długo z zjadliwym w cieniu swych listków owadem. Na pewne jednak ręczyć za to nie mogę, Ludwinka nigdy, przed nikim się nie skarżyła.

*) Zob. Nr. 18 i 19 Przegl. Nauk.

Wtedy na wigilią, stół długi białym obrusem przykryto, świeżém sianem podesłano, i gdy pierwsza gwiazdeczka błysnęła, na odgłos dzwonka zgromadziliśmy się wszyscy koło niego—rodzice, dzieci, wnuki, domownicy.

Matka wzięła opłatek i podając go ojcu:

—Dowsiego roku, rzekła uroczystym choć lekko drżącym od wzruszenia głosem, Dowsiego roku mężu mój, dzieci wszystkie moje—Dosiego roku!—Niech każde z was tak kiedyś łamie się chlebem Bożym, z rękoma dzielnych synów, szczęśliwych córek, pięknych wnucząt, przyjaznych sług domu swojego, niech kiedyś dłoń, co na jego dłoni z niezawiedzioną ufnością przez długie lata się wsparła, tak mu poda święcony opłatek, jak ja w téj chwili ojcu waszemu podaję—Amen! —odpowiedzieliśmy wszyscy—i rodzice rozłamali się opłatkiem, a potém matka szła koleją od najstarszych do najmłodszych, każdemu dając część jego i téj części cząstkę oddaną przyjmując; lecz gdy Terenia w następstwie rękę wyciągnęła, matka cofnęła się nieco i łzy jéj w oczach stanęły.

— Nie, to koléj oddalonego, rzekła, na imię Cypryana z błogosławieństwem mojém, niech będzie aż do chwili jego powrotu ten kawałek opłatka zachowany—i według słów swoich szła go na bok odłożyć......

W téj chwili drzwi się rozwarły—ktoś na progu stanął.....

— Matko, syn wraca o dział swój w szczęściu rodzinném się upomnieć—przemówił głos tak dobrze znany, że każda pierś go okrzykiem radości odbiła.

— Cypryan! nasz Cypryan!....

W istocie brat mój Cypryan, malarz, wędrowiec, artysta powrócił...

—Albercie filozofie! powiedz mi czy jest przeczucie?...

Ha! szczęście twoje że tak poważnie skinieniem głowy potakującą dałeś mi odpowiedź, bo cię miałem zaraz drugiém uderzyć zapytaniem: dla czego mnie na wejście Cypryana serce się boleścią ścisnęło?

Tak jest moi państwo, wyraźnie mówię, boleścią, chociaż w pierwszéj chwili nie umiałem jéj od wielkiéj radości rozróżnić.

Po kilku latach rozstania, witać brata wspólnika myśli i zabaw dziecinnych, witać ze łzą w oku, drżącą ręką i bladém czołem, mnie się

to zdawało, tylko nowym jakimś na uczucie szczęścia sposobem. Sposób dziwny jednak!... późniéj dokładniéj zdałem sobie z niego sprawę i dziś ręczyć mogę, że on był tylko boleścią przerażenia.

Cypryan matkę najpierw uściskał, ojca ręce najpierw ucałował, a potém siostry jedna przez drugą cisnęły się ku niemu, a które z nich dzieci miały, to mu je wyciągały na ręku, do wcześniejszéj pieszczoty, na lepsze powitanie.—Ja ostatni się zbliżyłem.

Cypryan objął mię za szyję, lecz nim do piersi przycisnął, zatrzymał się jakby zdziwiony—oczy jego utkwiły w méj twarzy, dłonie zesztywniały niby na moich barkach—i tak mię trzymał przez chwilę oddalonego ich wyciągnięciem—i tak patrzył ciągle na mnie—i tak dziwny uśmiech zachwycenia z ust jego rozświecił, że sam go nie pojmując, odśmiechnąłem się także i niby przemocą uwalniając się z narzuconego rozdziału:

— Cóż to? rzekłem, czy Benijamina tylko nie poznałeś?

— Oh! Matko, jaki on cudnie piękny! zawołał Cypryan do stojącéj za nim odwracając się nieco.

— Więc dla tego już mię i przywitać nie chcesz?...

Cypryan przywitał może radośniéj niż nasze całe rodzeństwo, ale czy serdeczniéj?... ja nie wiem, jednak z pewnym wyrzutem mu rzekłem:

— Zdaje mi się, żeś w téj chwili więcéj malarzem niż bratem.

— Prawda—odpowiedział przycichłym, uciętym głosem i znowu patrzył na mnie.

Bo ja podobno piękny, ale to bardzo piękny wtedy byłem—dzisiaj nie wierzyłabyś temu Anno, i wy wszystkie zaprzeczyłybyście—dzisiaj oczy mi wpadły, wyblakły, zagasły—włosy zrzedniały, bodaj czy już i siwieć nie zaczynają, skóra na chudych policzkach urysowała się szkaradnémi zmarszczkami—cera nie zczerniała i nie zbladła tylko zaschła, niby jakiś papier zbrudzony—a usta wykrzywiły się w taki nałogowy uśmiech niesmaku, że wesołym aż nudno patrzyć na mnie. Co to jest tak się zestarzeć w dwudziestym szóstym roku swego życia!... wszak prawda moje panie że to się nie godzi? Ha! przynajmniej na pociechę mogę powiedzieć sobie, że kiedyś piękny byłem.... piękny... piękny...

Cypryan ile razy spojrzał na mnie, to mu niby jaśniejsza myśl widomie po twarzy przeciągała—czasem zamykał oczy jak gdyby téj myśli chciał się lepiéj w swojéj własnéj głowie przypatrzyć, a czasem też coś go niby gniewało na mnie i brwi marszczył, warg przygryzał.—Ta ostatnia zmiana coraz częściéj zaczęła mu z końcem wieczerzy na rysy wybijać, bo ja także baczniejszą na niego zwróciłem uwagę.

Gdy pierwsze uniesienie wzajemnych powitań uspokoiło się nieco, gdy twarz Cypryana uściskami ożywiona, przejściem nagłém pod światło i ciepło rozgrzana, zaczęła powoli do zwyczajnego wracać układu—aż mię zimno wskroś przejęło, tak okropnego wyniszczenia śladów na niéj dostrzegłem.

Cypryan miał wszystkie rysy ojca, lecz jasne włosy i płeć białą matki.—Teraz rysy owe wyciągnęły się bez żadnéj proporcyi, płeć niegdyś tak świeża, nabrała kredowéj martwości, otwory oczu zwiększyły się wprawdzie, ale oczy gdzieś pod czoło głęboko uciekły—wyłysiał, ot, więcéj prawie niż ja dzisiaj, nos mu okropnie zgarbaciał, broda naprzód wyszczerzyła,—szczęki kościste ledwo skóry nie przebijały.

Matka trwożliwie spoglądała na niego—zapewne uważać to musiał, bo przez chwilę milczący i niby znużony, ożywił się znowu, zaczął głośno rozmawiać, śmiać się, opowiadać tysiączne swéj podróży szczegóły. Nawałem słów, jak widać, i prędkością poruszeń, chciał Cypryan oszukać ten wzrok matki badawczy, smutny a nie mylny, chorobliwe usposobienie zwyciężyło go jednak na chwilę—zaciął się nagle i długo tłumionym kaszlem wybuchnął.

Między kobietami ruch niespokojny powstał.—Cypryan skinął na nie żeby jemu i sobie dały pokój—usta chustką zasłonił, a potém ostatek napadu w pusty śmiech przeprowadził.

— To nic, to nic, zakrztusiłem się tylko, rzekł prędko chustkę do kieszeni chowając.

Ja siedziałem tuż przy nim i sam jeden spostrzegłem, że krew była na chustce.

— Ten kielich waszéj spokojności święcę—mówił daléj wesoło.

— Napij się lepiéj wody, szepnąłem mu zcicha i po karafkę sięgnąwszy niby nie naumyślnie trąciłem go tak mocno, że wszystko wino z kieliszka na obrus się rozlało.

Cypryan zwrócił się ku mnie niecierpliwym ruchem.

— Braciszku, trochę jesteś niezgrabny—to szkoda i z wyraźném niezadowoleniem patrzył mi w oczy—przetrzymałem wzrok jego.

— Napij się wody, powtórzyłem wpół z prośbą, wpół z rozkazem.

— Napiję, czego chcesz Benijaminku, odpowiedział trochę rozjaśniony uśmiechem, napiję choćby i octu z żółcią, bo znów jesteś prześliczny, ale jednéj rady mojéj usłuchać musisz....

— Trzech rad twoich Cypryanie — tylko ty dwa słowa przyjmij odemnie—jesteś chory—rzuciłem mu do ucha.

— O tem potem—rzekł jak najobojętniéj, i wypróżnioną szklanką mocno w stół uderzył, by zgłuszyć zamienione ze mną wyrazy.

— Moja rada Benijaminie jest ta, że przedewszystkiém powinieneś być szczęśliwym—ale to powiadam ci koniecznie szczęśliwym, bo jak nie, to zbrzydniesz—zbrzydniesz tak okropnie, że nawet Ludwinka, która wszystko smutne lubi, nie pozna cię wtedy i minie ze wstrętem.

Poczciwa siostra zaprzeczyła temu co prędzéj—lecz Cypryan nie chciał ustąpić.

— Z zupełną pewnością wyrokuję w tym względzie, mówił on, studyowałem jako malarz różne przemiany, różnych wrażeń i na różnych rysach—przysiądz wam mogę, że Benijamin okropnie zbrzydnie w nieszczęściu—bo jego twarz do odbijania saméj tylko radości stworzona....

Oh! już co wtedy, to się sam za sobą ująłem.

— Radośną ją widzisz w téj chwili, rzekłem, może nawet dziecinną jeszcze, ale zkąd tobie być prorokiem moich uczuć w chwilach odmiennych, mojéj twarzy w niepewnéj przyszłości? Więc ja tak słaby i wątły jestem?—a niedawno chwaliłeś piękność moję—jaką piękność? czy roślinną—według gatunku i koloru—zdrowia i czerstwości.—Ja myślałem, że mi z czoła za pierwszém spójrzeniem wyczytałeś wszystkie ducha tajemnice i dojrzawszy w nich własnéj istoty odbicia—tém artystyczném słowem „piękny” powitałeś—a ty, jak teraz poznaję, tylko linię i farby miałeś na pamięci.

— Gniewaj się, gniewaj dziecko moje, z uśmiechem na te wszystkie wyrzuty odpowiedział.

Ja się nie gniewałem, ale mi się okropnie smutno zrobiło.

— Cypryanie, rzekłem po chwili—choćby się nawet miała ziścić twoja przepowiednia—mniejsza o to, ja śmiało nieszczęście do walki wyzywam, będę brzydszym, ale będę lepszym.

— W nieszczęściu?

— Tak jest! w nieszczęściu, kiedy sprobuję wszystkich sił moich, użyję wszystkich praw człowieczeństwa—bo walka z nieszczęściem jest najwyższém prawem—bo walka z nieszczęściem jest siłą najwyższą!

Coś ja podobno i więcéj o tém mówiłem, lecz teraz słówka sobie nie przypominam nawet, a choćbym chciał z natchnienia brak wspomnień wynadgrodzić, to doprawdy trudniéj jeszcze, nie mogę ani w uczuciu, ani w rozumie znaleźć coś podobnego—do tych błogosławionych marzeń świeżéj wyobraźni.—Wzniosłem nieszczęście do potęgi ideału—na cześć jego złożyłem hymn i ostatnią myślą, ostatniéj zwrotki jego cisnąłem złym losom najdumniejsze wyzwanie. Szalony!..

Cypryan słuchał, patrzył się—uśmiechał—gdym skończył, jego białe długie palce od niechcenia zamieszały się w moje po góralsku naramiona spadające włosy i rzekł niby sam do siebie:

— Jakie to dziecko! jakie to piękne dziecko jeszcze!—On nie wié, że w najwyższości swojéj, istota ludzka ma tylko władze używania, zdolność do szczęścia—siły do stwarzania roskoszy—a jednak choć od matki, to słyszał przecież o dziewiątém niebie, gdzie twarz w twarz z Panem Bogiem przez całą wieczność wybrani się radują... Walka z cierpieniem.... jemu się zdaje że to będzie chwila takiéj improwizacyi jaką teraz ułożył, takiéj gry nerwów, takiego przyspieszonego krwi obiegu, jak go obecnie doświadczył—moje najdroższe, najśliczniejsze dziecko—to będzie jednak zupełnie coś innego—a palce jego przez całą długość włosów moich musnęły—to będą te włosy, mówił daléj; te cudnie słoneczno promieniejące włosy, zrzedniałe i zsiwiałe od nocy bezsennych, to będą te myśli dziś grające po muzgu tysiącem obrazów tęczowych, zawikłane w jakieś obliczania wypadków, czynów, prawdopodobieństw i fałszów—to będą te piersi tchnące dziś peł-

nią życia, zachrzypłe kaszlem, zerwane astmą;—to będzie to oko szklisto-czarne, powleczone siatką krwawych żyłek i żółcią nabiegłe—to będzie choroba, odrętwiałość, wielki kłopot o majątek, o kobietę, o jakiś plan życia może, ale nie będzie walka z nieszczęściem jak ty ją sobie wyobrażasz Benijaminku.—Tobie się zdaje, że nieszczęście wygląda jak biały anioł w czarne krepy uwinięty, z gorejącym mieczem w dłoni i dla tego chciałbyś z nim pójść już w zapasy—oh! wierzę bardzo że nie zbrzydłbyś wtedy—lecz ja ci powiadam, że nieszczęście wcale nie anioł żaden—nieszczęście wygląda jak pies co milczkiem kąsa, jak stara dewotka co pobożnie obgaduje, jak żyd lichwiarz obszarpany co dukaty obrzyna, i co ci wszystką złotą monetę życia twojego fałszuje—nieszczęście wygląda jak pijanica nad rankiem—jak nietoperz—jak błoto—jak palce z zanokcicą—jak brudna chustka od nosa—fe! fe! słuchaj mojéj rady, bądź lepiéj szczęśliwym Benijaminku—i głośnym śmiechem, a cichym kaszlem zakończył.

Nikt z nas się nie zaśmiał wzajemnie—każdemu ciężko było pod słowami owéj dziwnéj ironii—Bronisława tylko rzekła:

— Zabawnie wypowiedziałeś wielką prawdę Cypryanie—ależ na drugi raz nie ubieraj jéj w takie łachmany, bo się dzieci straszą—i schyliwszy się do wspartego o jéj kolana synka—prześlicznego chłopczyny, z szerokiém, bladém czołem, z wielkiemi ciemnemi oczyma:

— Nieszczęście, mój Bohdanie, brzydkie jest bardzo, przydała, gdyż nieszczęście to jest—złe które się zrobiło, i dobre, którego się zrobić nie mogło—grzech twój lub grzech ludzi braci twoich—unikajże nieszczęścia.

Chłopczyk zamyślił się i po chwili odpowiedział:

— Będę unikał matko.

Nic nie mówiąc wskazałem go Cypryanowi—Cypryan zrozumiał tę przymówkę, lecz wstrząsnął głową—popatrzył trochę i rzekł niedbale:

— To wcale co innego—Bohdan starszy od ciebie—on dziś—a ty jutro.—

W żaden sposób nie mogliśmy się porozumieć.

Nakoniec też i wieczór się skończył—wszyscy spać poszli według tego jak gdzie komu starania Ludwinki nocleg przyrządziły.

Karol, Cypryan i ja dostaliśmy maleńką na poddaszu izdebkę.

Cypryan pierwszy się położył i o zgaszeniu świecy upomniał. Zmęczonemu podróżą, choremu nawet, jak to z twarzy jego było widać, nie chcieliśmy chwil do spoczynku potrzebnych zabierać. Poszliśmy oba za jego przykładem, skoczyli prędko w łóżka nasze, i prędzéj jeszcze zasnęli owym smacznym, błogosławionym, pierwszym snem wszystkich nocy spokojnéj jeszcze młodości—przynajmniéj ja tak usnąłem.

Nagle, w parę godzin może, blask mię jakiś przebudził.—Patrzę—aż tu Cypryan stoi nad mojém łóżkiem.

W jednéj ręce trzymał on zapaloną świecę, a drugą tak jéj płomień obejmował, żeby cień w stronę Karola padała, całe zaś światło na mnie—przez rozchrzustaną koszulę widać było jego piersi zapadłe, i wszystkie kości z anatomiczną dokładnością z pod skóry się rysujące—rzekłbyś że to szkielet jaki zlekka tylko cielistą błoną pociągnięty, lecz za to całe życie tych trupich piersi do twarzy jego uciekło,—była to twarz na ową chwilę grą nerwów i muskułów, do pierwszéj młodzieńczości wrócona—były to oczy ciepłym promieniem bijące—usta, purpurą świeżéj krwi wypełnione, czoło, jakby od niewidzialnéj gwiazdy jaśniejące—była to jednem słowem głowa wskrzesiciela—na ramionach umarłego.—Sprzeczność uderzająca, niesłychana, a cudna.

Pod jéj urokiem, w chwili niespodzianego przebudzenia, nawet sobie wyrazów na zapytanie dobrać nie mogłem—przetarłem tylko oczy, zerwałem się i usiadłem.—Brat lekko mię znów ręką na posłanie przechylił i dał znak milczenia.

— Cóż to jest? spytałem go się wreszcie.

Cypryan trochę brwi zmarszczył, siadł na brzegu łóżka, świecę jeszcze zupełniéj ku twarzy mojéj obrócił, ale nic nie odpowiedział.

— Cóż to jest? powtórzyłem raz drugi.

Znowu milczał—lecz po chwili:

— O czém ci się śniło? zagadnął mię wzajemnie.

— Nic a nic nie pamiętam, odrzekłem, gdyż tak było w istocie.

— To bardzo źle Benijaminie—sprobuj, może przypomnisz sobie.

— Doprawdy nie mogę ani słówka.

— A ja bym dał sobie lewą rękę po sam łokieć uciąć, żebyś mógł.

— Nie czekaj na to Cypryanie, bo się przeziębisz jeszcze. —Jak można z takim kaszlem w noc Bożego narodzenia wstawać boso i nawet płaszcza nie zarzucić.

Brat syknął i ust przygryzł.

— Ja pytam co ci się śniło? powtórzył z przyciskiem.

— Pomówimy o tém, tylko weź co cieplejszego na siebie lub połóż się przy mnie.

— Słuchaj Benijaminie—rzekł brat z powściągniętą, ale widoczną niecierpliwością—mnie dalibóg żadne alpejskie zimno nie zaszkodziło —spałem kilka razy pod śniegiem—byłem na górach, gdzie mi oddech w ustach marznął i wróciłem ztamtąd zawsze zdrowszy, rzeźwiejszy; —lecz jednego dnia gdym się rozgniewał, zaraz mi krew nosem i ustami buchnęła—przestrzegam cię o téj ułomności mojéj braciszku—nie gniewaj mnie.—Bo to widzisz mój drogi, ciągnął daléj jakby zgadując niespokojne zadziwienie moje, są chwile życia, których nie trzeba na drobniuteczkie wrażenia roztrwaniać:—„a to się zaziębisz—a to weź co ciepłego—a to jedz—a to pij—a to tak—a to owak.”—Cierpieć nie mogę całéj téj trzygroszowéj troskliwości—jeśli na nią będziesz uczuciem szafował, to kiedyś w wielkiém przesileniu i serca ci zabraknie. —Mnie jak o życie chodzi o przywołanie twego sennego widziadła—mnie w głowie przyszłość—sława.... a ty kaszel przypominasz i gdybym pozwolił tylko, byłbyś bzowemi ziółkami zaczął mię częstować. —Czyś ty niemka rozkochana, czy siostra szpitalna?—Toć to wytrzymać trudno!

— No już nic, już nic nie powiem—lepiéj ty mów czego chcesz?

— Chcę wiedzieć o czém ci się śniło...

— A to dziwny człowiek! chyba z natchnienia na prędce sen jaki ułożę.

— I owszem, proszę, układaj...

— Otóż słuchaj—śniło mi się, że z drżącą lampką w ręku spuszczałem się do głębokiéj pieczary—w pieczarze były skarby tak wielkie......

— Kłamiesz Benijaminie, ja ci mogę lepiéj twój własny sen przypomnieć—zastanów się tylko, czyś nie roił że byłeś Grekiem w pięknych młodéj Grecyi latach.

— Oh! nie, za to ci ręczyć mogę—we wszystkich snach przeszłego i przyszłego życia, jestem zawsze tatrzańskim górnikiem—synem ojców moich.

— Alboż ty wiesz Benijaminie? może ci się też śniło że byłeś poetą, lecz zrozumiejmy się dobrze, nie takim poetą z piórem w ręku, z palcami w atramencie uwalanemi, nad drewnianym stolikiem, a do tego jeszcze w szlafroku i pantoflach—oh! nie, może ci się śniło że byłeś poetą w dawnych wiekach i na młodszéj ziemi, że miałeś siedmiostruną lutnię w dłoni, a nad sobą tylko niebo, a do koła siebie zamiast czterech ścian wilgotnego muru, przestrzeń bez końca i mur życiem bijących piersi. I wtedy śpiewałeś sobie pieśń wielką, głośną, śmiałą, a lud słuchał—czuł—wierzył—i śmiał się, i płakał—i w żelazne miecze dzwonił według tego jak pieśń brzmiała.—A pieśń twoja Benijaminie—i wieniec Olimpijski twój—bo dla tłumu wielu śpiewało, lecz ty sam zwyciężyłeś—tobie tłum-lud padł pod nogi i bracia-mistrze się ukorzyli.—No, cóż myślisz? snem takim, czyżby śnić nie warto—chociażby potém zaniemieć na wieki.....

— Prawdę rzekłeś bracie, ty lepiéj odemnie moje własne sny pamiętasz—snem poety ja nieraz marzyłem, ale bez wieńca olimpijskiego—bez ukorzonych współzawodników—bez tłumów u nóg moich—marzyłem tylko, że wszystkie serca tętnem krwi mojéj biły—że w mojém uczuciu spromieniło się każde w świat boży rzucone uczucie—że byłem ze wszystkiemi i wszyscy byli ze mną—nie niżéj, nie daléj, tylko tuż pod bratniéj ręki dotknięciem, tuż w samém dźwięku méj pieśni.

— Dobrze, dobrze Benijaminie—ale dźwięk pieśni to jeszcze nie wszystkość życia twojego—młody jesteś—młodość sama przez siebie władzą i zdolnością—użyć jéj musisz koniecznie—nadmiar siły trzeba ci przelać choćby w pustotę; potrzebie gwałtownych ruchów, trzeba stworzyć odpowiednie choćby i szaleństwo—bo przecież wszystkie arterye wzbierają czerwieńszym sokiem niby lawą gorętszą—jeśli zbytku twojego nie ciśniesz na świata uciechy—to się natura

wstecz cofnie, i głębię ducha zatruje.—Trzeba szaleć Benijaminie—czy snu takiego nie miałeś?—Może też kiedy widziałeś sam siebie na wozie złocistym, jak dzielnym rumakom cugli popuściwszy, biegłeś do mety z najsławniejszemi gonitw bohaterami—ty taki młody—taki niewprawny—daj pokój lepiéj, bo tysiące patrzą na ciebie—tam rzędem kobiety, tu starce, które cię poważnie za nierostropność zgromią, tam młodzi towarzysze, którzy za próżność niewczesną wyśmieją—daj pokój—tobie w gynsceum jeszcze piosnkami się niańczyć albo według koloru na krosnach nitki rozsnuwać—daj pokój—ty dziecko, ty słaby, ty śmieszny, w głowie ci się zakręci, ręce ci zemdleją—daj pokój—ha może ci tak mówiono?—Ale słuchać nie chciałeś—od zamętu, od hałasu mózg ci w głowie zakipiał—ręce drżą do cugli—oczy widzów magnetyzują cię prawie—im ich więcéj, tém lepiéj.—Siadłeś na wóz i pędzisz—konie pianą parskają—obłok kurzu cię okrył—nieba nie widzisz—z samą przestrzenią się gonisz—czy jéj uciekniesz—czy ją wyścigniesz—a słyszysz jak to się śmieją—oh! szyderstwo pospólstwa, to harpija co serce wygryza; obelga śmiechu, to rozpalone pod czaszką żelazo!—Spiesz się, spiesz się—bo cię uprzedzi tamten wóz purpurą ozdobny, którego białe konie wyciągnięte, strzałą lecą w powietrzu—a czy słyszysz oklaski—czy słyszysz tryumfu okrzyki?—Spiesz się—spiesz—tam na przeciwko sędziowie z bacznóm okiem i meta już blisko—tobie pęd powietrza głos w piersiach tamuje—chciałbyś krzyknąć—jak krzykniesz, twoje rumaki nowych sił wydostaną... ha! krzyknąłeś i przy mecie jesteś—ty pierwszy.—Spojrzyj teraz po widzach, śmiéj się z tych co o tobie wątpili—bierz nagrodę i wychódź ze szranek z dumném czołem, z hardym wzrokiem, i słuchaj jak po drodze twojéj jedni drugim z ust do ust podają—„to on, to on, zwycięzca hypodromu.....”

Brat zamilkł i patrzył na mnie.—Juścić, przyznam się państwu, że było wtedy mówić do mnie o koniach, o wyścigach, o tych przemianach zwątpień i nadziei, to jak gdyby kto w oczach szulera najpiękniejsze tasował karty i pobrzękiwał złotemi stawkami—jakoś mi się ciepléj zrobiło—śmiać się zacząłem a Cypryan rozgarnął mi włosy i znów daléj mówił, lecz głos jego był uroczystszy, głębszy, czasem trochę drżący nawet.

— Może téż ci się śniło Benijaminie, że miałeś głowę arabskiemi wonnościami skropioną, tunikę z najcieńszéj wełny Sydońskiéj utkaną, wieniec różany na skroni, a te skronie wsparte o łono kobiety—lecz nie matki, nie siostry, nawet jeszcze nie kochanki twojéj... Benijaminie! czy ty rozumiész tę chwilę, w któréj kobieta jeszcze kochanką ci nie jest, a już kocha i kochana?—czy ty rozumiesz tę chwilę, w któréj każde spójrzenie obietnicą—każde jéj szaty dotknięcie pieszczótą—każde słowo pocałunkiem—czy ty rozumiesz tę chwilę? A kobietę taką czy widziałeś?—kobietę piękną—silną w namiętności—świętą w duchu swoim.—Na jéj czole taka myśli potęga, żeby mogła losami Aten kierować—a na jéj ustach taka roskosz—a w jéj spojrzeniu taka wabność gorąca i przenikliwa.... Czy ty śniłeś o niéj?—Ej daj mi pokój z całą powszednich małżeństw uroczystością—co mi po téj dziewicy, która skromnie oczy spuści, jakby drzémać chciała, ustek niewinnie przysznuruje i nic mi nie da w życie prócz praw kodeksem zawarowanych.—Oh! jak innym piorun od świecy, tak inną moja piękna od téj ze zwyczajowych przepisów uklejonéj duszyczki—Tobie także Benijaminie inna zupełnie się śniła.—Jéj oczy jeśli spuszczone, to promień tylko nadziei lub wspomnień zbyt jaskrawy, więc przesłonięty;—jéj rumieniec—to krew, to życie co z przepełnionéj organizacyi gwałtownie na zewnątrz bije.... a jéj miłość!... ty nie znałeś własnéj potęgi, nie rozumiałeś świata—nie czułeś Boga póki cię ona nie ukochała;—piękność—szczczęście—cud—to miłość jest jéj... Wierz mi bracie! takie kobiety są—i możesz spotkać którą, i możesz kiedyś zapragnąć umrzeć w jéj objęciach, żeby już potém nie bydź choćby nawet szczęśliwym inaczéj.—A nie nazywaj szczęścia podobnego zmysłowością—roskoszy twojéj rozpustą—zmysłowość będzie ledwie formą najorganiczniejszego wzniesienia się ludzkiéj natury w pełność Bóstwa z duchem i ciałem—roskosz sama w świadectwo przeciw rozpuście stanie.—Zmysłowiec tak nie czuje, rozpustnik tak nie używa, jak ty czuć będziesz wszystkiemi władzami duszy twojéj—jak ty użyjesz całą męzkością twéj siły młodzieńczej.—Gdybyś nie miał każdochwilowego uznania swéj godności, gdyby ona nie była ową Medeą co żywiołom rozkazuje,—ale Medeą, która nigdy zbrodni nie popełni—bo wiecznie kochaną będzie—gdybyś ty po jéj miękkich wezgłowiach

hartowniéj wśród spartańskich niewygód zasnąć potém nie umiał, gdyby ona z tych ust rozpieszczonych krwawym na torturach nie splunęła w potrzebie językiem — gdybyście oboje nie mieli téj wyobraźni, co wam w poezyę każdy całunek ozłoci téj śmiałéj myśli; co z każdéj chwili radośnéj, chwilę siły wyciągnie; co zawsze nową prawdę wykryje lub nowy sposób na szczęście utworzy—gdybyście nie byli tak właśnie duchem potężni, intelligencyą wzniesieni, przyznaniem szlachetni, tobyście i tak szczęśliwi nie byli—bo szczęście—słuchaj, niech ci się chociaż śni o tem Benijaminie,—szczęście zupełne jest dane tylko temu, kto umie najokropniej dla dobra bliźnich cierpieć i najnamiętniej kochankę do drżącej piersi przycisnąć.

Ucichł znowu Cypryan—ja go słuchałem jeszcze, dziwy mi się po głowie roiły, wszystkiemi jego słowami niby krew w żyłach wzbierała—jednak czułem potrzebę odparcia tych wrażeń.

— Kusicielu!—rzekłem zcicha.

Brat się nachylił, pocałował mię w czoło—ale nagle świeca, którą trzymał, zadrżała, upadła z lichtarzem na ziemię i zgasła.—Schwyciłem Cypryana za rękę, ręka była zimna jak lód—krzyknąłem—Karol się obudził—wstał prędko—świecę znów zapalił i przy jej świetle ujrzeliśmy Cypryana bez przytomności, na krawędzi łóżka przewieszonego... krew mu się kawałami z ust waliła... był przerażającej, żółtej jakiejś bladości... myślałem że już umarł.—W tej chwili dzwonić w kościołku na mszę pasterską zaczęto.....

Przepraszam państwa... muszę odpocząć trochę—kiedy sobie ten obraz przypomnę—jest mi okropniej niż wtedy było nawet.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

BADANIA

Ze względu Historyi Literatury Polskiéj w zarysach,

K. Wł. Wojcickiego.

(Dalszy ciąg.)

Dziś, jeśli rzecz sama gorzki wyciśnie wyraz,
sprawiedliwość natychmiast balsam otuchy niesie.

IV.

Okres IV od r. 1621 do 1750, nazwany jest przez autora *Epoką Jezuityzmu* i rozciąga się od str. 1—193 T. III. Na czele autor wcale nie zły wstęp o Jezuitach nakreślił, lubo i tu nie mógł się wstrzymać od cudzych zdań, cytowanych z Jaroszewicza, Siarczyńskiego, a nawet i z Dawnéj Polski Adryana Krzyżanowskiego. Po krótkiéj przemowie zaczyna się okres *teatrem*, to jest komedijami i dijalogami, a to dla tego, jak p. W. twierdzi, że gdy inne oddziały literatury pod przeważnym wpływem Jezuitów już upadały, teatr wzniósł się najwyżéj i najwięcéj zajaśniał. Wprawdzie wyprawiano Dijalogi—ale czyż to teatr? sztuka!—Daléj autor wypisuje kilka urywków i treść niektórych ówczesnych dziełek scenicznych.—Tu także p. Wojcicki z widocznym w wielu miejscach talentem, kilka miłych i prawdziwych rzuca obrazków. Nawet i zdania samorodne tu się spotykać dają. Między innémi np. tak się odzywa o zamarłych przeszłości postaciach, jakiemi są: Klecha, kantor, bakałarz, żaki, ciurowie obozowi, towarzysze pancerni, hajducy, pątnicy wędrowni, sołtysi, czarownice, guślarze i t. p. „Figury te zamarłe, odżywione dzisiaj ręką mistrzowską, ozdobiłyby scenę: rozbudzone allelujem XIX wieku, nie odmienią zaprawdę języka, ale zmienią stanowiska i do wyższego interessu powołane być mogą. W dramacie nawet historycznym, czy w obrazach domowego

życia naszych przodków, mogą odżyć, a dramat taki, jeśli się go doczekamy, będzie dopiero narodowym, bo będzie wiernym obrazem zapomnianego żywota przodków i zmartwychwstaniem tych osób, które od tego obrazu są nieodstępnemi figurami."

Widzi więc Szanowny nasz starożytnik, iż chętnie stawimy i *dobre*, aby rzucało światło niekiedy na to co jest złego, kryjącego się w cieniu. Radzibyśmy byli nie rozpędzać wcale i tego mroku, co nad słabszą stroną jest rozpostarty; radzibyśmy, aby można było równie dobrze wspominać o pismach zacnego autora, tak jak on wspomina o naszych i wielu innych;—ale cóż począć, kiedy już minęły czasy recenzyj stronniczych, jak przeszły chwile bytu ciurów, żaków i dworaków. Dziś, publiczność sądu krytycznego, jest warunkiem niezbędnym tegoż sądu. Sądownictwo w dziedzinie *piękna* i *prawdy*, t. j. Literatury, jak w dziedzinie *dobra* i *sprawiedliwości*, *t. j.* życia, musi być koniecznie publiczne. Dziś więc trybunał prawdy stać powinien otworem dla powszechności czytającéj. Sumienny przeglądacz czyli adwokat zdający sprawę, bez żadnych wybiegów prawnych, bez ciemnych i spiralnych rozumowania zboczeń, krzywiących często rzeczywistość, bez wyskoków stylu i nakręcań bezzasadnych nie wiedzieć skąd zwykle i jedynie dla tego wysnutych, aby na *swojém* postawić, bez tych wszystkich (mówimy) ułud, stanowiących najczęściéj szatę fałszu,—musi okazać w całéj nagości złą i dobrą stronę; ocenić każdą nie podług własnego *widzimi się*, ale według *dowodów* jakie składa (pièces justificatives)—i wniosek jak najbezstronniejszy dla sędziów czytających wyciągnąć. Minęły również czasy krytyk z żółcią lub octem pisanych, jako też pochlebstw i kadzideł: dziś jeśli rzecz sama gorzki wyciśnie wyraz, sprawiedliwość natychmiast balsam otuchy niesie.—Ale wróćmy do szczegółów:

Wyjątek z komedyi dworskiéj roku 1637, ciągnący się przez 16 stronic, jest za długi. Chociaż pan W. wysoko kładzie Samuela Twardowskiego jako pisarza, wszakże 23 str. wypisów z jego wierszy, zdaje się że za wiele... Podobnemi nadużyciami, autor znakomicie powiększył co do objętości swe dzieło, a wiele mu ujął wartości wewnętrznéj. I to również uderza, że z jednych pisarzy, jakby ulubieńców

swoich za nadto wiele,—z drugich zaś, chociaż podług nas równie dobrych, nic zgoła, lub bardzo mało przytacza. Jeśli dzieło pana W. miało już być *Wypisami*, i do tego zapewne jeszcze, według rozumienia autora, zupełniejszémi i lepszémi od wszystkich dotąd znanych, to czemuż autor nie zachował w wyborze stosunku odpowiedniego, i dla czego, tak jakby nic prawie z prozy nie przytoczył, a najwięcéj urywków wierszowanych kładzie? Już tak syci wszyscy są podobnych próbek, żeby p. W. nierównie większą wyświadczył dla kształcącego się pokolenia przysługę, gdyby dał mu wzory dobréj prozy, która poniekąd ze wszystkich dzieł, i starszych nawet nieco pisarzy, powoli znikać zaczyna. Wprawdzie, tu lub tam spotka się w dziele pana W. proza, ale nie wzorowa, lub niestosownie dla młodych wybrana,—i zawsze to powtórzyć musimy, iż wypisy szanownego starożytnika, nie są dla starszych, a przecież cała zaleta tak nazwanéj *Historyi Literatury polskiéj w zarysach*, jedynie na wyborze dobrych i stosownych zależała ustępów.

Wspominając w dalszym ciągu o Andrz. Maks. Fredrze, autor znowu mnóstwo przysłów z dzieła jego wypisuje. Lubo uznajemy ważność téj prawdziwéj filozofii praktycznéj ludu naszego, wszakże wyznać musimy, iż takich rzeczy, gdzie każdy wiersz oddzielny głęboką jest myślą, nie można od razu kilkanaście stronic przeczytać; tém bardziéj młodzież nie przeczyta i znudzi się. Mamy zresztą samegoż Szanownego autora aż 3 tomy zbioru przysłów; za cóż więc i w drugiém jeszcze miejscu toż samo kładnie?

Koniecznie wypada zrobić tu uwagę, iż tak samo jak z przysłowiami, autor poradził sobie i z innemi ustępami. Wzmiankowaliśmy już wyżéj o wypisie długim z Klechd jego własnych. — Mówiąc pan W. o pieśniach Ludu, przytacza wiele ze zbiorów swoich pieśni; mówiąc o Teatrze, przytacza z dzieła swego *Teatr starożytny* i t. d. i t. d.— Bardzo to są piękne rzeczy *Przysłowia*, *Klechdy*, *Podania*, *Pieśni Ludu*, *Teatr* i t. p., ale kiedy wszystko już znamy z dzieł poprzedzających samego autora, moglibyśmy się wybornie bez powtórzeń obejść. Pan W. dośćby zrobił, gdyby tylko czytelników do swoich przeszłych prac odesłał. Tak przynajmniéj wymagała skromność autorska, tak

kazała postąpić sumienność pisarza, który z pojęciem sprawiedliwości rodzi w sobie przekonanie, iż nie należy tychże samych rzeczy w kilkunastu ogłaszać obsłonkach. Słuszne jest zdanie o autorze satyr, Opalińskim, zwłaszcza na str. 123, poczynając od słów: „*Gdyby to było prawdą* i t. d. Szczytną tę prawdę każdemu życzymy przeczytać i wdzięczność najprawdziwszą panu Wojcickiemu za nią składamy.

Widać staranie się w wielu miejscach, aby nagromadzonemi szczegółami bibliograficznemi zastąpić niedostatek zdań. Wszakże i o tém usiłowaniu autora, możnaby rzec tożsamo, co i o innych niedokładnościach. Jedni pisarze niemal są obarczeni wydaniami swemi; drugim, chociaż także zasłużonym, ujmuje p. W. i dzieł i wydań. Że zaś doprowadza *swoję* Historiję aż do roku obecnego, nie powinien przeto i nowszych edycyj, chociaż dawnych pisarzy, pomijać. Przecież Opalińskiego pozbawił edycyi Poznańskiéj. Również autor nie dodał, że wydanie z r. 1698, trzecie z porządku jest także poznańskie. Drugie zaś wydanie, lubo jest z roku 1691, ale pan W. trzymając się Bentkowkowskiego, razem z nim błąd powtórzył, iż i druga edycya dokonana w r. 1698. Przepraszamy czytelników za to, że ich nudzimy podobnemi usterkami; ale ponieważ w dziele pana W. najwydatniejszą stroną jest *Bibliografija*, przeto i tych szczegółków pominąć nie można było. Ze względu iż jest w literaturze znany i drugi pisarz z témże samém nazwiskiem, jednocześnie nawet żyjący z Krzysztofem, Łukasz Opaliński,— mógł pan W. w przypisku wiersz o tém dodać dla wiadomości młodzieży. Ale prawda! tamten *Anathema sit!* bo pisał po łacinie!—Wybór z Krzysztofa satyr, jest bardzo dobry i stosowny, szczególniéj co do pierwszéj satyry.

O Kochanowskim wypisał pan W. z nowszego już źródła, bo z Ambrożego Grabowskiego!—Drużbackiéj wszystkich pism nie ma wymienionych, zwłaszcza tych, które w XIX wieku zostały wynalezione. Przytaczanie za wzór jéj *Wiosny*, już we wszystkich wypisach i artykułach o niéj kilkadziesiąt razy się powtórzyło; czyż pan W. nie mógł już choć w tym względzie nowością zabłyszczéć? To jest znowu poparciem naszych dowodów, iż autor nie ze samych dzieł czerpa wyjątki, ale robi *wypisy z wypisów*; bo inaczéj dla saméj rozmaitości, opuściłby *Cztery pory roku* téj polskiéj rymotwórki.

O życiu Stanisława Leszczyńskiego tyle powiedział co i Bentkowski, to jest parę wierszy. Opuszcza dzieło jego, które i w Bentkowskim całkowicie nie jest przytoczone, p. t. Historya starego i nowego testamentu, z tłumaczeniem do zbudowania wydana, wziętem z Ojców śś., dla nauki obyczajów każdego stanu ludzi; wierszem polskim z francuzkiego przetłumaczona, w Nancy, 1761 r., w kroju arkuszowym. O ojcu zaś króla, *Rafale*, o którym zaledwie Bentkowski wspomina, p. W. zgoła nic nie mówi; lubo powinien był o tém wiedzieć choćby z tego przynajmniéj powodu, że pisma jego i w niedawnych wyszły czasach.

W tym okresie autor pominął wielu pisarzy, nawet okwitszych. Mówi np. o Janie Stanisławie Jabłonowskim, a pomija Aleksandra, który jako Bibliograf, tłumacz, heraldyk i t. d. zasługiwałby na wzmiankę. Bentkowski nawet za źródłowego uważa go pisarza. Pan Wojcicki zaś, choćby dla porównania go ze Stanisławem, powinien był nie odmawiać miejsca w swém dziele, tém bardziéj, kiedy kładnie daleko mniéj od niego znaczących, mniéj *wartych* (mówiąc wyraźniéj, aby kto nie wziął w innem rozumieniu wyrazu *znaczący)* jak Wydżgę i t. p. Nigdzie autor nie nadaje swemu dziełu jednolitości; nigdy stale tychże samych nie trzyma się zasad, które raz niby sobie obrał. I tak lubo się zaparł łaciny, wszakże przyznaje się do dzieł pisanych językiem Rzymian. *Naprzykład* Starowolskiego, wszystkich dzieł, dla nas *najważniejszych*, pozbawia, jako wydanych w mowie łacińskiéj; ale Duńczewskiego, *liche* panegiryki, chociaż łacińskie, przytacza. Otoż do czego doprowadza machinalne tylko łączenie szczegółków, wtedy gdy nie ma stałych zasad do nakreślenia sobie planu ogólnego—i kiedy się nie posiada znajomość krytyki dziejowéj w tym stopniu, aby wiedzieć co przyjąć, co odrzucić, i jak wszystko ocenić?

Dla czego pan W. pod rubryką Grammatyków i Słownikarzy kładnie pisarzy przysłów, jak Żeglickiego i Zawadzkiego?—nie wiemy. Może tylko przez tę analogiję, że niektórzy zbieracze na czele swych słowników umieszczali przysłowia, lub w toku dzieła przytaczali niektóre przypowieści ludowe?—I to jeszcze nie żadna przyczyna, choćby przysłowia w porządku abecadłowym spisane były, aby je zaliczać do Słowników.

Okres piąty autor ciągnie tylko od r. 1773 do 1825 i zwie go epoką Konarskiego, Krasickiego i Francuszczyzny. Cały *wstęp*, słusznie można przyznać, iż jest najlepszy ze wszystkich 4ch tomów dzieła. Możnaby i tutaj znaleść kilka uchybień, jak np. to, że powstając na francuszczyznę, sam w wielu miejscach pisze zwrotami nie polskiémi i gallicyzmów się nie chroni i t. p. Ale mniejsza o te plamki; całość jest tak dobra, że zaciera wszelkie usterki drobniejsze, że zniosłaby i większe nawet pomyłki, gdyby się tam znalazły. Następuje potém krótki życiorys Konarskiego—i obszerniejsze rozpisanie się o Krasickim, którego ocenienie przez *M. z Płockiego*, umieściliśmy już w piśmie naszém *). Dorzucimy tylko uwagę, iż wypis aż 32 stronic z Krasickiego, jest za nadto obfity, tém bardziéj, że sam pan W. w T. I. na str. 163, tak się o tym wyraził pisarzu: „Chwalić, co przyjął i ukochał, rzecz daremna; przywodzić wyjątki rzecz próżna, bo każdy je zna i umié."—Autor Hist. lit. polskiéj w zarysach, o 2ch tylko mówi wydaniach Krasickiego, a jest ich kilkanaście; między innémi *in* 32°; paryskich dwa, lipskie, drugie wyd. Dmochowskiego syna, 1829 roku; Glicksbergowskie **) w Wilnie i Warszawie; wrocławskie i t. d. *Bajek* jego, jako książki elementarnéj, także było mnóstwo wydań wileńskich, warszawskich, krakowskie i t. p. Następnie mówiąc o Naruszewiczu, p. W. cytuje słowa Klem. z Tań. Hoffmanowéj. To już gdy przyszło wspomnieć o Brodzińskim, trzeba było autorowi oprzeć się na zdaniu pani Eleon. Ziemięckiéj! Nic nie mamy przeciw pismom pierwszéj, ani przeciwko talentowi drugiej. Ale czyż o poważnym historyku, kobiety, zaledwie życiorys jego skreślającej, zasięgać trzeba przekonania? Jużbyśmy prędzej pozwolili o pisarzu serca zawezwać niewieściej pomocy p. El. Z., na której zdanie lubo się nie zgadzamy, ale już za stosowniejsze na ten raz uznajemy. Widać ztąd, że autor jak może i gdziekolwiek może, zewsząd pożycza, a kiedy mu i tego zabraknie, natenczas rzecz swą dotacza przemowami lub przypisaniami autorów, o których mówi. Tak sobie począł z Węgierskim, Knia-

*) Patrz Przegląd Naukowy Nr. 8 i 9 z r. 1846.

**) To wydanie mieści i *Zbiór potrzebniejszych wiadomości* przy innych edycyach opuszczony.

źninem i t. d. Zdaje się, że p. W. ma namiętność do cytacyj, jak *Jowialski* do przysłów, bo bez nich kroku nie śmie posunąć. I tu więc może się poniekąd zastosować *dewiza* przez nas wybrana do II artykułu o dziele p. W. *). Naruszewicz z Węgierskim kończą pisarzy wieku XVIII, lubo nie kończą okresu przez pana W. obranego. Że zaś już następują nowsi pisarze, których jeśli nie dzieła, to przynajmniej życie zaszło na wiek XIX, przeto błędy o nich popełnione porządkiem w następnym numerze pisma naszego wyliczymy. Pierwej atoli zdanie o przeszłowiecznych pisarzach, tą wzmianką zakończymy, iż podług mniemań pana Wojcickiego najczęściej spotykanych o pomienionych autorach, każde dzieło dawniejsze na *swój czas* było dobre. Kiedy Szanowny Starożytnik polski, tak dobrze pojmuje względność na wyobrażenia *czasowe*, czemuż nie chciał się zastosować do pojęć jakie mamy *obecnie* o Historyi literatury? Tymby jedynie sposobem zasłużył na podobne zdanie jakie daje o starożytniejszych pisarzach. Gdy się zaś rzecz ma przeciwnie, przeciwne też podług sumienia naszego zmuszeni jesteśmy powtórzyć przekonanie: iż dzieła pana W. na *czasy nasze*, zupełnie dobrem nazwać się nie godzi, jako *Historyi literatury* choćby tylko w *Zarysach*. Przeciwnie, gdyby pan Wojcicki nazwał swą pracę *Wypisami*, dzieło jego postawilibyśmy najwyżej ze wszystkich dotąd znanych pism tego rodzaju, wytłoczylibyśmy najzasłużeńszą w takiém zdarzeniu pochwałę. Wszakże na ten raz—jest inaczej. *(D. c. n.)*

H. Skimborowicz.

*) Patrz str. 627 Przegl. Nauk.

KRONIKA PISMIENNNICZA POLSKA.

Niektóre poemata Lorda *Byron'a*. Z oryginału przełożył *Antoni Zawadzki*. Wydanie H. Skimborowicza. Warszawa, 1846, str. 398, w 8ce mniejszéj.

Tłumaczenie to już przez to samo zasługuje na uwagę, że nam przedstawia utwory jednego z największych geniuszów wieku naszego — tego geniuszu, o którym wielki *Goethe* wyrzekł, że jest genialnym bez granic, nieskończenie genialnym (graenzenlos genial).—*Żale Tassa*, *Werner*, *Narzeczona z Abydos* i *Wyspa* czyli *Chrystian i jego towarzysze*, oto są utwory wielkiego wieszcza, których przekładem przysłużył się p. A. Zawadzki piśmiennictwu krajowemu. W naszych czasach pokazały się u nas przekłady największych poetów Europy: Szekspira, Szyllera, Getego, Bajrona i t. p. co pokazuje, że coraz więcéj nas obchodzą zjawiska najznakomitsze poezyi, rzec można, światowéj, ludzkiéj, bo obchodzącéj świat cały, ludzkość całą, każdego w ogólności człowieka, mającego w sobie rozwinięty pierwiastek godny swojéj istoty, ludzki, człowieczy.

P. Zawadzki poprzedził swój przekład kilku uwagami, rzuconémi o Literaturze z powodu Bajrona i Szekspira, tych dwóch największych wieszczów Albionu i niezawodnie świata całego.

Należałoby dziś, kiedy ci dwaj genialni poeci dostępnémi się stali po większéj części dla ogółu czytelników za pośrednictwem przekładow, przedstawić ich charakter, barwę, myśl, dążenie. — „W końcu jeszcze zeszłego stulecia (pisze p. Zawadzki) dzieła Szekspira stały się przedmiotem badań angielskich i niemieckich krytyków... Podobnie należałoby się zająć ocenieniem wszystkich tworów takich geniuszów, tych nawet dzieł, które chociaż piętnem niższości są oznaczone, już dla tego samego, że są wypływem ducha wielkich ludzi, obojętnémi być nie powinny."—Jeżeli kto, to zaiste Bajron i Szekspir warci są rozbiorów—bo Bajron pokazał nam pierwszy barwę rapsodyczną pieśni homerycznych, a Szekspir—genialnych, wtajemniczonych w naturę tragików greckich. *Tasso* dla tego nie przemawia do nas, że on naśladował *formę*, ale nie treść, nie ducha Homera.—*Ario-*

sto zaś i *Dante* dla tego nie są cenieni, że nie znani, że nikt się nie ośmieli przelać na nasz język prawdziwie *rajskich* i *piekielnych* piękności *Boskiéj komedyi* lub jąć się olbrzymiego przekładu *Orlanda szalonego* Ariosta. Szekspir i Bajron zasługują na uwagę, bo życie ich jest gorącém, pełném ciepła życia tchnieniem ludzkości co żyje w nas, bo myśmy jeszcze nie wyczerpali głębokości ich myśli, nie zmierzyliśmy przepaści ich uczucia—ale nie mniéj uwagi godni są i owi genialni a zapomnieni dziś (jak niegdyś Szekspir) Dante, Ariosto lub Kalderon de la Barka i t. p. Z wdzięcznością przyjmujemy przekłady Bajrona, Tassa a może się doczekamy z czasem całego panteonu genialnych wieszczów świata. Krytyka estetyczna miałaby wtedy materyały badania dostępne dla ogółu i przystępniejsząby się stała dla ogółu czytelników, a myśli i uczucia ludzkie, światowe, stałyby się mieniem ogółu. *N.*

NOWOŚCI.

*S*ą już pod prassą Wiadomości historyczne o sztukach pięknych w Polsce, przez S.

— Przebywający na Litwie Ludwik Adam Jucewicz, jak R. i H. S. napisał i w porządku alfabetycznym ułożył: Wiadomości Biograficzne i literackie o uczonych Żmudzinach, tudzież o tych, którzy będąc rodem z innych prowincyj, znacznie się przyłożyli do oświecenia na Żmudzi.

— Będące w księgotłoczni następne dzieła polskie, wkrótce ukazać się mają:

Kraszewskiego powieści: *Czasy Zygmuntowskie* (1572), we 4ch tomach i *Milion posagu*, powiastka dwutomowa.

Dzieje narodu polskiego za panowania Władysława IV. króla polskiego, napisane przez Kajetana Kwiatkowskiego, wydanie drugie poprawione i wielu dodatkami powiększone.

— Doktor J. K. Pietrzykowski z Litwy, wytłacza w Warszawie dzieło swoje o Położnictwie domowém.